

Stanisław Balbus

Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4, 47-56

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wyrazy analizowane w tym eseju zasługują na uwagę jako dokumenty walki z terrorem i inwigilacją. Ich analiza treściowa jest wysoce przekonująca, a prowadzona *sine ira* byłaby przekonująca jeszcze bardziej. Czy odniosły one zwycięstwo nad swymi denotatami, jak efektownie pisze Wierzbicka? W pewnym sensie tak — nie sposób pisać teraz o komunie nie używając nacechowanego przecież wyrazu *komuna*. Ale czy wyraz *nowomowa* nie jest homogeniczny, czy nie należy do nowomowy? Mówił kiedyś o tym Walery Pisarek, przed zaraźliwością komunistycznego języka propagandy ostrzegał Seweryn Blumsztajn. Być może najgroźniejsze byłoby zwycięstwo komunistycznego języka teraz — nie przez jego pojęcia czy frazeologizmy, ale przez utrwalone w nim, a przez to i w nas skłonności do używania w publicznym mówieniu wyraźnie wymaganej dwuwartościowej oceny, nonsensownych sylogizmów, patetycznych metafor, do przypisywania prymatu wierności leksykonowi raczej niż składni, do abstrakcyjności i dyrektywności i wielu jeszcze innych cech. Miejmy nadzieję, że nie będzie to zwycięstwo pełne.

Stanisław Balbus: Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy?

Nie zdołałem, niestety, dotrzeć do pełnej angielskiej wersji pracy Anny Wierzbickiej, której tłumaczone tu fragmenty (choćby po numeracji paragrafów i treści sumarycznego rozdziału ostatniego sądząc) stanowią tylko stosunkowo nikłą część; mam jednak wrażenie, że reprezentatywną i miarodajną. Przedmiotowo, t e m a t y c z n i e rzecz biorąc, jest to, wedle końcowych słów Autorki, „o p o w i e ś ć o polskich nazwach policji politycznej”, czy gdzie indziej: „analiza określeń używanych w j ę z y k u p o t o c z n y m dla nazwania policji politycznej”. Aliści p r o b l e m, już w tytule, oznaczony został niepomiernie szerzej: „mechanizmy samoobrony językowej” przed językowym totalitaryzmem. A więc spenetrowany faktycznie zakres przedmiotowy okazuje się s y n e k - d o c h ą całego problemu. Na wybranych przykładach z wybranego wąskiego zakresu obszarów języka pragnie Autorka w istocie dojść do konkluzji pozajęzykowych: socjalnych, kulturowych, politycznych, bo dotyczących centralnej w rzeczywistości peerelowskiej kwestii „władzy wewnątrz władzy, nigdy nie uznawanej przez ludność za

zgodną z prawem”. Stąd tytułowa „samoobrona” oznacza zarazem protest wobec pewnego s y m p t o m u faktycznej władzy politycznej (partyjnej), symptomu najdotkliwiej odczuwanego w praktycznym życiu politycznym, niewołącego wprost, brutalnie, jawnie i dokuczliwie. A zatem znów myślenie synekdochalne Autorki: policja polityczna jako praktyczne narzędzie terroru i zniewolenia duchowego przez monopartyjną władzę. Notabene siły policyjne określało się wszak u nas potocznie i bardzo powszechnie (na w p ó ł żartobliwie, na w p ó ł szyderczo), jako *władzę* (stąd nawet spersonifikowany zwrot *panie władzo*), czego akurat Autorka, nie wiedząc czemu, nie bierze pod uwagę.

Cechy semantyczne kilku analizowanych tu słów, ze względu na ich aspekt referencjalny, określa Wierzbicka globalnie (w diachronicznym stopniowaniu): terror, przemoc, tortury, bestialstwo, anonimowość, tajność, nieokreśloność, mafijność, gangsterstwo, klikowość, bezprawie i tylko *quasi*-legalność, bezkarność. Zaś emocjonalne aspekty ekspresywne dotyczące stosunku do tych znaczeń — również skalarnie i zasadniczo w porządku chronologicznym — jako: strach, groza, gniew, lekceważenie, pogarda, odraza, intencja obelgi, szyderstwo, przekora i generalnie — negacja.

Jako metodologiczny punkt wyjścia stawia Autorka hipotezę, że metody totalitarnego zniewolenia językowego (tj. mechanizmy oficjalnej, mocą aparatu władzy ustanowionej nowomowy) na Newtonowskiej niemal zasadzie: *reactio est aequalis actioni*, wywołują swoje językowe przeciwieństwo: język antytalitarny, „mowę podziemną”. W ten sposób w systemach totalitarnych pojawia się nieuchronnie zjawisko społecznej dwujęzyczności, d y g l o s j i: autentyczny język społeczeństwa o mocy pozaorganizacyjnej samointegracji oraz język władzy, która przy pomocy owej nowomowy stara się społeczeństwo duchowo spustoszyć, uprzedmiotowić, wyprodukować jako bezkształtne zbiorowisko zniewolonych umysłów, czy bez-umysłów. Do owej dyglosji prowadzą się właśnie mechanizmy społeczno-językowej (a więc duchowej) samoobrony, polegającej „na znajdowaniu sposobów wyrażania emocji, postaw i myśli, które wskutek kontroli politycznej słowa oficjalnego (a więc publicznego) nie mogą być w y r a ż o n e w p r o s t”. I tu pierwsza niejasność i. drobne na razie, zastrzeżenie. W PRL przed powstaniem „obiegu nieoficjalnego” (czyli przed 1976 rokiem) „słowo oficjalne” był to w zasadzie język p i s a n y i formy publicznej komunikacji.

wystąpienia jeśli ustnych, to z reguły c z y t a n y c h, kontrolowanych zatem przez cenzurę („dyskusje” radiowe i telewizyjne, odczyty zebraniowe, wiecowe itp). Język autentycznej, antytotitarnej, komunikacji był natomiast j ę z y k i e m m ó w i o n y m, potocznym, „prywatnym”, niemal familiarnym, funkcjonującym zatem w sferach (z wyjątkiem obawy „podśluchu”, donosicielstwa, inwigilacji) nie objętych żadną kontrolą totalitarnych instytucji politycznych. Pojawia się zatem pytanie, którego Wierzbicka nie stawia: dlaczego to w owej „względnie bezpiecznej”, pozaoficjalnej sferze miałyby pojawiać się znaki, czy ich konfiguracje, „szyfrowe”, niejako kamuflujące, „nie wyrażające autentycznych emocji, myśli i postaw wprost”? Logicznie wszystko wskazywałoby na to, że takie wyrażenia powinny pojawiać się raczej w języku pisanim (oficjalnym, kontrolowanym, języku „na podsłuchu”, publicznym). I to istotnie (acz Autorka fakt ów zignorowała) miało miejsce w literaturze artystycznej, w prozie po 56 roku, w poezji po 68, w escistyce, które to formy rozwinęły całą sztukę aluzji, kamuflażu, alegorii. Aluzji nieraz wielopiętrowych, często intertekstualnych, apelujących zatem do „elitarniej” świadomości społecznej, prowadzące zaś grę z aparatem kontroli; często były to po prostu peryfrazy, eufemizmy, przemilczenia. Rzecz zaś szczególnie ciekawa i ważna w tym kontekście (czego Wierzbicka również nie przyjmuje do wiadomości), że takie kamuflujące określenia pojawiały się nagminnie również w potocznej komunikacji kolokwialnej (Autorka przytacza jeden przykład: *smurfy* na określenie ZOMO), ale funkcjonował przecież od stanu wojennego niezmiernie popularny znak zomowców: *marsjanie*; zamiast KC partii mówiło się *Biały Dom*, zamiast ZSRR — *starszy brat*, Gomułkę (dzięki Szpotańskiemu, ale na ogół bez świadomości źródła) nazywano *Gnomem*, dysydemtów i rewizjonistów — *komandosami* lub *taternikami*, Jaruzelskiego — *generalem Zomozą*, o uwięzieniach — *zalatwieniem miejsca w internacie*; o Wałęsie — *mężczyzna z wąsami* (za sprawą podpisu pod rysunkiem Fedorowicza), o cenzurze — *doraźna pomoc literacka*, o przymusowych manifestacjach — *spędy* lub *zbiorowy entuzjazm mas*, o ubeckich bojówkarzach — *nieznani sprawcy*, o zorganizowanym biciu więźniów i aresztantów — *bieg przez ścieżkę zdrowia* itd., itd. Tego rodzaju aluzje, peryfrazy, eufemizmy były próbą jawnego ominięcia lub oszukania oficjalności w obrębie teje oficjalności, a niekiedy jawnym szyderstwem z oficjalności i jej języka. A więc tym samym bardzo istotnym środkiem językowej samoobrony.

Z generalnego założenia — analizy i dociekania Wierzbickiej dotyczą wyłącznie warstwy leksykalnej języka, tj. wybranych, izolowanych haseł leksykalnych. Tymczasem istota totalitarnej nowomowy (nie omijając, rzecz jasna, leksykonu) spoczywa jednak przede wszystkim w k o n s t r u k c j a c h języka, w składni, a ściślej frazeologii, a to dlatego, że jest to język tak zunifikowany (przemówienia, dekrety, deklaracje, oficjalne komunikaty PAP-u, oficjalne sprawozdania, krytyki i „głosy w dyskusji”), że składnia przestaje być generatorem zdań indywidualnych, a staje się zbiorem gotowych sztanc wyrażeniowych, wobec których swoboda mówiącego jest minimalna, a wariabilność zależna raczej od zewnętrznej sytuacyjności, niż woli mówiącego; co zdanie to frazeologizm. I tej to sfery dotyczą przede wszystkim „mechanizmy samoobrony językowej” wytwarzające „język podziemny”, co prowadzi do mniej lub bardziej jawnych parodii języka oficjalnego (demaskujących jego bezsensy, pozorności semantyczne, tautologie, absurdy), albo do „omijania z daleka” z jaskrawą ostentacją tego typu konstrukcji (ortodoksyjna dbałość, by nie zbliżyć się do „języka telewizji”, nawet za cenę kolokwializmów czy wręcz wulgaryzmów, nonszalancji mowy itp). Znakomitych przykładów pierwszego dostarcza poezja „pokolenia 68”, zwłaszcza Barańczaka, Lipskiej, wczesnego Krynickiego, a także teksty piosenek kabaretowych Osieckiej, Pietrzaka, Młynarskiego.

Nie dezawuuując w najmniejszym stopniu precyzji i wnikliwości konkretnych analiz semantycznych Wierzbickiej, trzeba wszakże wprost powiedzieć, że jako bezpośredni przedmiot mający otworzyć problem mechanizmów antytalitarnej samoobrony językowej wybrała ona bardzo powierzchowną kategorię zjawisk językowych. Elementy leksykalne mogą służyć za prowizoryczny punkt wyjścia, ale nie jako fundament metody uchwycenia sedna problemu. Zagadnienie takie jak nowomowa i anty-nowomowa trzeba by badać wychodząc nie od pojedynczych znaków, lecz od formacji mownych, od form wypowiedzi, stylów, gatunków mowy, aktów mowy — i charakterystycznych dla nich k o n s t r u k c j i znakowych.

Między językiem totalitarnym (nowomową) a antytalitarnym istnieje w rzeczywistości „realnego socjalizmu” (i komunistycznego jak również faszystowskiego totalitaryzmu) różnica fundamentalna, którą Autorka zdaje się co najmniej bagatelizować. Autentyczność „życia” języka sprowadza się, co oczywiste, do m o w y, do komunikacji, tj. interakcji międzypodmiotowej, czyli k o n w e r -

s a c j i społecznej — międzygatunkowej itd. Dlatego to — powiadają dziś niektórzy badacze tekstów i filozofowie języka (np. Bachtin, Barthes, amerykańscy dekonstruktywiści, niektórzy hermeneutyki) — każda a u t e n t y c z n a wypowiedź (nie „martwa inskrypcja”) jest z natury rzeczy intertekstualna (a więc wielostronnie interakcyjna). Każda też posiada jawnie wmontowaną funkcję fatyczną skorelowaną z konatywną i emotywną. Język totalitarny natomiast (nawet „mówiony”) jest „inskrupcją”, nie jest przeznaczony do wzajemnej w y m i a n y informacji, czyli do m ó w i e n i a. Uzurpowaną i jedyną uznawaną przez niego funkcją jest p r z e m a w i a n i e, przekaz informacji w jedną stronę. Uprzedmiatawia on swego odbiorcę, a nadawcy odbiera aspekt personalny, czyni go bezosobowym przekazicielem opinii „niczyjej”, stanowiska instytucji politycznej. Jest to język akonwersacyjny, język monologu, nawet jeśli ów „monolog” przybiera zewnętrzne, formalne pozory „dialogu” (zdania dyskusyjne są „uzgodnione”, „skonsultowane”). Jakby rzekł Bachtin, jest to język autorytarny, gdyż w swoim mniemaniu wyraża zawsze „jedynie słuszną i niepodważalną rację” („Na temat pluralizmu nie może być dwóch zdań”, jak mawiał Stalin), rację bezosobową, bezwzględnie zobowiązującą odbiorcę (zmystyfikowanego i sfikcjonalizowanego, oczywiście) do jej „bezdyskusyjnego przyjęcia do wiadomości”.

Autorytarnie monologiczny język totalitarny musi „udawać” zatem, że „nie dostrzega” pozaoficjalnych (a „żyjących na wolności”) sposobów istnienia języka jako rozmaitych odmian konwersacyjnej („poza zasięgiem cenzury”) mowy kolokwialnej. Nie przyjmuje jej do wiadomości. Dekretuje jej oficjalny niebyt. Toteż nie jest w stanie i „nie chce” mowy tej „zaczeptać”, wdawać się w polemiki. Stara się ją jedynie — zawsze skrycie i nieoficjalnie — ograniczyć i unicestwić.

Każdy natomiast język żywy, kolokwialny, nie tylko wchodzi w konwersacyjne kontakty i interakcje z innymi językami (stylami) tego samego rzędu, ale przede wszystkim nieustannie zdobywa się na „zaczeptki”, prowokacje, parodie, karykatury, demaskacje i demistyfikacje wobec oficjalnego języka autorytarnego, usiłując podważyć jego „niepodważalne racje”. Dzieje się to w mowie kolokwialnej, ale także w konwersacyjnych stylach literackich (próbowałem szerzej zanalizować to zjawisko w artykule *Dywersja w nowomowie*, „brulion” 1987, nr 2—3).

Stosunki między obydwoma członami nazwanej przez Wierzbicką dyglosji są zatem nieproporcjonalne. „Mowa podziemna” stanowi wprawdzie reakcję na mowę oficjalną, „urzędową”, ale to ona jest aktywna, ona dostrzega i atakuje tę ostatnią, gdy ta jawnie ją ignorując, potajemnie próbuje ją zlikwidować, usunąć, nie jest jednak w stanie w nią ingerować, gdyż to by oznaczało uznanie partnerstwa. Wierzbicka na analizach paru przykładów jednostek leksykalnych świetnie nieraz pokazuje istotę tego rodzaju konfrontacji, ale czyni to w oderwaniu, poza formami wypowiedzi, których owe pojedyncze znaki są elementami strukturalnymi, poza odpowiednimi gatunkami mowy i aktami mowy, od czego przecież jest skądinąd świetną specjalistką. Tymczasem pojedynczy znak reprezentuje wszak system czy jakiś mikrosystem, i zarazem określony akt komunikacji, określony, stosowny do typu tego aktu, gatunek mowy. Tutaj dopiero zaczyna się istota problemu owej „samoobrony”. Bronią się gatunki mowy i akty mowy, nie słowa, one są tylko partykularnymi narzędziami w granicach swoich ram całościowych.

Zawężenie owego problemu w rozprawie Wierzbickiej polega zwłaszcza na swoistym prezentyzmie. Tak jakby problem językowej „samoobrony” pojawił się dopiero wraz z językami totalitarnymi, a więc w komunizmie i faszystwie czy „realnym socjalizmie”. Tymczasem jest to tylko swoiste spotęgowanie i swoista modyfikacja zjawiska (i problemu) znacznie szerszego i znacznie starszego. Od wieków działo się tak, że każdy język oficjalny, zyskujący sobie autorytet jakiejś władzy czy instytucji (czyli autorytarny lub do autorytarności zmierzający), powodował pojawienie się swego przeciwieństwa. Tak działo się w średniowieczu i później z językiem sakralnym (liturgicznym, paraliturgicznym, językiem katechezy i homiletyki), który wyzwolił język swoich wulgaryzujących parodii (nikt nie zanalizował tego lepiej i pełniej, niż Bachtin); tak z klasycystycznym językiem literatury pięknej i traktatów, który sprowokował gwałtowny rozwój literatury plebejskiej; tym jest bodaj dziś gwara studencka wobec oficjalnego języka akademickiego. Ujęcie całej tej problematyki w nadrzędnych ramach gatunków mowy, form i stylów społecznych — pozwoliłoby Autorce postawić zasadnicze i kluczowe pytanie: czym mianowicie dzisiejszy język antytotalitarny różni się gruntownie i generalnie od innych językowych sposobów samoobrony przed zakusami innych języków autorytarnych.

Powstaje jeszcze jeden problem, bodaj najważniejszy, a na pewno najtrudniejszy; problem natury w istocie lingwistyczno-metodologicznej. Rozprawa Wierzbickiej dotyczy semantyki leksykalnej z uwzględnieniem kontekstów wypowiedzeniowych. Przy czym Autorce zdecydowanie bliższe jest podejście pragmalingwistyczne, niż logiczno-strukturalne. Bada ona zawartość znaczeniową „słów podziemnych”, nowopowstałych jako reakcję żywych kontaktów mownych na zmystyfikowane odpowiedniki w obrębie zunifikowanej nowomowy. Pojawia się zatem automatycznie — nigdzie atoli przez Autorkę *explicite* nie sformułowany — problem, na jakich zasadach konstytuują się owe, powszechnie przecież przez społeczeństwo zrozumiałe, znaczenia polemicznych, buntowniczych, demaskatorskich, szyderczych „słów podziemnych”. Problem stary i mający w historii lingwistyki wiele, nie zawsze dających się uzgodnić, rozwiązań czy hipotez. Wierzbicka — z reguły wprost tego nie określając — zdaje się na równych prawach uwzględniać metody i hipotezy nader rozmaite i trudno sprowadzalne do wspólnego mianownika, wyraźnie wedle chwilowej przydatności do powziętych założeń na temat „powinności znaczeniowej” danego słowa czy po prostu własnej intuicji, co ono znaczy. A zatem:

- a. Bierze pod uwagę prostą funkcję referencjalną (desygnatywną); sens słowa jest taki, jak w społecznym świecie lub intuicyjnym odczuciu „sens” (i „aura”) jego realnych desygnatów (faktów, rzeczy, zjawisk), tak jak one funkcjonują w realnym życiu społeczno-politycznym, zgoła poza językiem, jego systemem i stylami. Słowo „nasyca się”: 1° jakością rzeczową swego desygnatu, 2° zabarwia ekspresywnie i wartościująco tymi emocjami społecznymi, które ów desygnat na ogół w danym momencie historycznym wywołuje. Np. UB — tortury, lochy, anonimowość, tajność, przemoc, bezprawie, bezkarność, a zatem — gniew, nienawiść, pogarda.
- b. Bierze pod uwagę modyfikacje w stabilizujących się w danych okolicznościach historycznych kontekstach wypowiedzeniowych, tj. typ łączliwości syntagmatycznej danych haseł z wyrażeniami z odpowiednich pól znaczeniowych, np. *ubowski oprawca*, *parszywy ubek*.
- c. Uwzględnia relacje wewnątrzsystemowe danych słów, ich powiązania, antynomie, konotacje w odpowiednich polach semantycznych, np. donosicielstwo, inwigilacja, tortury.

- d. Uwzględnia pragmatyczne aspekty komunikacyjne, tj. typ sytuacji nadawczo-odbiorczych, okoliczności społeczne i konteksty komunikacyjne, w których dane słowo może lub nie może się pojawić.
- e. Snuje (bardzo na ogół wnikliwie) dociekania morfologiczno-semantyczne i bada efekty modyfikacji derywacyjnej słów.
- f. Stawia na pierwszym planie — domniemywane na podstawie własnych intuicji czy empatii — subiektywne asocjacje, głównie emocjonalne, użytkowników danego słowa w danym momencie.
- g. Wspiera się na konstatacji społecznego charakteru, pozycji, poglądów użytkowników słowa, biorąc zwłaszcza pod uwagę ich polityczny, wartościujący stosunek do oficjalności (kto danego słowa używa, w jakich okolicznościach, z jaką intencją, w jakim celu).
- h. Przywołuje w sukurs — na nader dowolnej zasadzie — subiektywne i w znacznej mierze arbitralne, niedowodliwe skojarzenia dotyczące nie tyle „przeżyć słów”, co przeżyć faktów i zdarzeń, do których słowa te się odnoszą lub z którymi się kojarzą, ustalając tym samym charakter rzeczywistości pozajęzykowej jako semantyczną podstawę.
- i. Powołuje się na własne, subiektywne, i nieraz dość odległe, poetyckie zgoła, skojarzenia słowne, tak semantyczne, jak często tylko brzmieniowe (*phonaestheme*), np. *komuch* kojarzy się z *muchą* i *kocmoluchem*, *ubol* — z *pierdolić* i *partolić*, *robol* (w pogardliwym znaczeniu robotnik) z *robakiem*; *komuna*, *bezpieka* — na zasadzie morfologiczno-semantycznej — z hasłami *zgraja*, *klika*, ale także: *afera*, *draka* itp.

Oczywiście, w samym artykule brak jakichkolwiek prób takiego uporządkowania, czy choćby wyodrębnienia i nazwania metod. W ogóle panuje tu powszechnie (wdzięczny skądinąd literacko, ale nieco podejrzany metodologicznie) subiektywny domysł, przypuszczenie. Wyrażenia w rodzaju: „w jakiś sposób sugeruje to...”, „intuicyjnie wydaje się jakoś związane z...”, „przypomina to...”, „kojarzy się z czymś...”, „wydaje się, że nieprawdopodobne byłoby skojarzenie...”, „przypuszczam, że słowo to zachowało aurę...” itd. itd. — należą do „formuł-kluczy” tej lingwistycznej rozprawy, którą Autorka zresztą nazywa w końcu z wdziękiem „opowieścią”.

Jeśli powiedziałem wyżej o preferowaniu przez Wierzbicką, mimo wszystko, postawy pragmalingwistycznej, to wymagałoby to uściślenia. A mianowicie, Autorka preferuje w ogóle nastawienie

pragmatyczne, przez co rozumiem w tym miejscu, że interesuje ją nie tyle komunikacyjne funkcjonowanie mowy (i jej konkretnych znaków), ile społeczne funkcjonowanie pozajęzykowej rzeczywistości, której ta mowa i te znaki dotyczą, a także psychologiczne reakcje na ową rzeczywistość ludzi, którzy znakami tymi się w danych okolicznościach polityczno-historycznych posługują. Słowo *ubowiec* budzi grozę, poczucie tajemnicy i irracjonalnego terroru, ponieważ funkcjonowało zwłaszcza w czasach stalinowskich, gdy takie uczucia budziło UB i jego funkcjonariusze; słowo *ubek* wywołuje pogardę i lekceważenie, gdyż pojawia się i ulega ekspansji w czasach popaździernikowych, kiedy to policja spełniała głównie rolę podsłuchiowaczy i inwigilatorów, a terror zelżał, itp.

W efekcie Wierzbicka bardzo często, niemal z zasady — acz prawie niezauważalnie i bynajmniej nie metodycznie — przechodzi od opisu języka (struktury morfologiczno-semantycznej, semantycznej struktury kontekstu syntagmatycznego, struktury sytuacji komunikacyjnej, struktury pól semantycznych) wprost do opisu charakteru i pragmatyki faktycznej rzeczywistości, w której elementy językowe funkcjonują i wobec której istnieją. Dokonuje niejako swoistej substytucji systemu znaków na system nie tyle już ich signifiés, co po prostu układu realnych, faktycznych desygnatów społeczno-politycznych.

Przypuszczam, że u podstaw tego (nie wiem, na ile zamierzonego) postępowania tkwi w ukryciu metodologiczne zaplecze neohumboldtowskiego paralelizmu językowo (semantyczno)-psychologicznego oraz językowo-kulturowego, zwłaszcza zaś wyjaskrawiona „hipoteza Sapira-Whorfa” i pewne akcenty stanowiące modyfikację przesłanek „pierwszego” Wittgensteina. I jeśli w zakończeniu rozprawy Autorka, odwołując się do Leibniza i Sapira, powiada, że „język jest zwierciadłem umysłu, kultury i historii”, to zaczynam podejrzewać, że to metaforyczne zwierciadło traktuje ona zbyt dosłownie, jakby obraz ze zwierciadła był prawomocnym substytutem tego, co się w nim odbija. Czyżby do Leibniza i Sapira miał dołączyć się Lenin ze swoją „teorią odbicia”?

Na koniec jeszcze jedno zastrzeżenie. Otóż przebieg walki z semantyką (czy pseudo-semantyką) totalitarnej nowomowy jest ściśle skorelowany z autorytarnym i zmistyfikowanym charakterem tej semantyki. A charakter ów doskonale niegdyś określił Aleksander Wat w eseju o języku propagandy stalinowskiej (na którego Wierzbicka, a szkoda,

się nie powołuje) oraz w wiele lat później Andrzej Drawicz analizujący współczesną nowomowę sowiecką na tle tradycji języka polemicznego lewicy rosyjskiej (na ten esej Wierzbicka także się zresztą nie powołuje, choć ukazał się w fundamentalnej książce o nowomowie). Otóż, pomagając sobie trafnym sformulowaniem Jastruna, powiada Drawicz tak: perfidia nowomowy „polega na odwróceniu znaczeń słów przy (restrykcyjnym) przymusie powszechnego uznania tych słów w ich sensie pierwotnym”, co znaczy np., że niewola jest nazywana wolnością i za wolność, wedle urzędowego dekretu, ma być bezapelacyjnie uważana w każdej oficjalnej wypowiedzi. Otóż „antytotalitarna samoobrona językowa” polegałaby w tym kontekście na „wróceniu słowom ich wygłosu pierwszego”, czy to przez morfologiczne lub kontekstualne zabiegi i innowacje, czy to przez parodię i szyderstwo. Z artykułu Wierzbickiej dość wyraźnie płynie taki wniosek, ale nie zostaje on wprost sformułowany, jako generalna zasada i cel „samoobrony”.

Odpowiedzi autorki

Michałowi Głowińskiemu dziękuję za cenne uzupełnienia do mojego artykułu, a w szczególności za zwrócenie uwagi na *ubeczkę* i *ubicę*. *Ubeczka* jest oczywiście pozycją bardzo ważną, w omawianej strefie języka. *Ubica* jest sporadyczna i żartobliwa, ale bardzo przekonująca i niewątpliwie warta odnotowania. Skojarzenia z Królem Ubu są, jak sądzę, bardziej wąskośrodkowe, ale wykorzystanie ich przez Józefa Życińskiego dobrze ilustruje wyjątkowy potencjał ekspresywny związany z podstawą *ub-*.

Szczególnie cenna i wymowna jest anegdota o cenzorze usuwającym z tekstu słowo *ubecy* jako „obraźliwe”, i żądającym zastąpienia go „funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa”.

Elżbieta Tabakowska słusznie zwraca uwagę na obecny rozwój „językoznaństwa kognitywnego” i na charakterystyczne dla niego zarzucenie podziałów między semantyką a pragmatyką.

Uwaga co do neutralności akronimu *PRL* jest jednak nieporozumieniem. W pełnej wersji mojego artykułu sporo uwagi poświęciłam pejoratywnemu nacechowaniu słów takich jak *Peerel* (rodzaj męski)